Inicjacja



SEBASTIAN KMIECIAK

Toruń 2026

Archiwum Obcych Światów

Młody mężczyzna biegł pustą, wąską uliczką. Co kilka chwil oglądał się za siebie. W ręku ściskał małe zawiniątko, błyszczące odbitym światłem. Czarny płaszcz biegacza powiewał przy każdym kroku. Przynitowane do skroni ciemne okulary zakrywały szczelnie oczy, ale napięte, zbielałe usta zdradzały nerwowość chłopaka. W pewnym momencie zatrzymał się i oparł dłoń o porysowaną, brudną ścianę budynku biegnącego wzdłuż uliczki. Mężczyzna pochylił się i wziął kilka głębokich oddechów. Po chwili wyprostował się i postukał palcem jednej ręki w nadgarstek drugiej. Nad przedramieniem uniósł się holograficzny obraz, przedstawiający wycinek mapy. Chłopak potrząsnął ręką, wyłączając holo, obejrzał się za siebie i wznowił bieg.

Kluczył między ciasnymi uliczkami, raz w prawo, raz w lewo, to znów po skosie, przebijając się przez miejski labirynt, aż zatrzymał się ponownie. Przyłożył palec do skrawka ucha i zastygł na kilka sekund. Położył zawiniątko na bruku i przytknął dłoń do ściany, nie odrywając drugiej od głowy. Posuwał się w lewo, powoli i metodycznie badając powierzchnię muru palcami. Po kilku sekundach zatrzymał się ponownie, nacisnął ścianę w kilku miejscach i odsunął się o krok. Przez chwilę nie działo się nic, a potem, w towarzystwie cichego szumu, pojawiło się pęknięcie. Prefabrykat, z którego wykonano budynek, zaczął się powoli przesuwać, powiększając wolną przestrzeń do szerokości niecałego metra. Chłopak rozejrzał się na wszystkie strony, podniósł zawiniątko i wszedł do środka.

Pomieszczeniem, w którym się znalazł, było ciemne, z punktowym, zielonym światłem, mrugającym w kilku miejscach na podłodze. Chłopak musiał uruchomić któryś z zainstalowanych dodatków, bo z oprawki okularów wystrzelił wąski promień, rozjaśniając przestrzeń. Skupiony blask wydobył z mroku szczegóły dotyczące pomieszczenia. Zbudowane było na planie kwadratu, pozbawione okien i innych, poza wejściowymi, drzwi. Za wyposażenie służyły biurka, ustawione jedno obok drugiego w liniach i oddzielone od siebie wysokimi ściankami. Każdy z tych prowizorycznych boksów zawierał również jedno krzesło oraz komputer. Skrzynia sporych rozmiarów spoczywała pod każdym z biurek, na blatach stały monitory, a plątanina grubych kabli ciągnęła się przy ścianach. Sprzęt sprawiał wrażenie zawieszonego w czasie, wyprodukowanego przed ostatecznym przełomem w miniaturyzacji. Przy trzech stanowiskach, rozparte na krzesłach, usadowione były zwłoki. Ciała były męskie i znajdowały się w stanie początkowego rozkładu. Chłopak obrzucił pomieszczenie spojrzeniem raz i drugi po czym, ignorując

martwe osoby, zajął miejsce przy wolnym stanowisku. Położył na blacie zawiniątko, rozwinął błyszczącą teraz na zielono warstwę ochronną i spomiędzy izolacji i wypełniacza wydobył mały, plastikowy czytnik. Przejechał dłonią po przedniej stronie obudowy komputera, znalazł odpowiednie gniazdo i wsunął w nie urządzenie. Po chwili ponownie aktywował nadgarstek, rzucając na blat holograficzny wizerunek klawiatury. Drugą ręką wprowadził sekwencję klawiszy, pobudzając tym komputer do życia. Uśmiechnął się, wypuszczając powoli powietrze. Sięgał w stronę monitora, gdy pomieszczenie wypełnił oślepiający blask. Rozbłysk trwał sekundę, a kiedy zniknął, chłopak leżał z głową opartą o blat. Dymiąca dziura, która zastąpiła pół klatki piersiowej mężczyzny, nie zostawiała pola do interpretacji na temat jego stanu zdrowia. Trup zastygł w półleżącej pozycji, dołączając tym do pozostałych ciał zamkniętych w pomieszczeniu.

***

- Gdzie się pchasz?!

Odwróciłem się w stronę krzyczącego, posyłając mu firmowy uśmiech. Znaczy się, wyszczerzyłem moje wydłużone, wzmocnione tytanem i spiłowane na czubkach kły, Gość spojrzał na mnie, zawahał się i zaczął przyglądać się bardzo intensywnie czemuś po mojej lewej. Ruszyłem dalej. „Przydatny gadżet" – pomyślałem, chowając zęby. Nie powierzyłbym im swojego życia w bezpośrednim zwarciu, ale pomagały przełamywać lody w trudnych rozmowach. A w moim fachu pierwsze wrażenie potrafiło załatwić lwią część pracy.

Przemknąłem między kolejnymi przechodniami, już nie niepokojony. Zapuszczałem się coraz głębiej w brudne trzewia miasta. Taki mój los: rzadko kiedy wzywa się nas do zabójstw popełnianych w lepszych dzielnicach. Nie tak, że nie popełnia się tam ich wcale, co to, to nie. Tylko tam wkalkulowane są one w ryzyko udziału w rozgrywkach o władzę i załatwia się je w zupełnie inny sposób. A im dalej od piedestału, tym robi się brudniej, brutalniej i, cóż, zwyczajniej. I większa szansa, że do sprawdzenia sytuacji zostanie wezwany ktoś taki, jak ja Pogrążony w rozmyślaniach, dotarłem na miejsce. Wąska alejka nie zdradzała sobą żadnej potencjalnej tajemnicy, wiem jednak, że rzeczywistość potrafi być zwodnicza. Dlatego szedłem powoli, oglądając uważnie fasadę budynku. Nakładka na oko synchronizowała prawdziwy obraz z naniesionym

wcześniej holo, szukając punktu stycznego. Zajęło mi to kilkanaście sekund, wreszcie ujrzałem podświetlone punkty na ścianie. Pozostało je tylko wcisnąć.
- Nieźle – rzuciłem do nikogo, wchodząc przez powstałą wyrwę w murze. Dzięki nagraniom wiedziałem, czego się spodziewać, ale i tak poczułem się dziwnie w tej obcej przestrzeni. Nakładka na oko robiła swoje i nie musiałem obawiać się ciemności, ale coś w tym miejscu było nie tak. Zaduch i unosząc się w powietrzu kurz drażniły mój podrasowany zmysł węchu, ale powinienem czuć coś jeszcze. Cztery ciała musiały nadać temu miejscu charakterystyczną woń i właśnie jej brak mnie niepokoił. Owszem, zwłoki wyniesiono jakiś czas temu, ale cząsteczki odoru śmierci powinny utrzymać się jeszcze przez kilka godzin. Mając to z tyłu głowy, przeszedłem do oględzin miejsca zbrodni.
Brak ciał stanowił oczywisty problem, ale takie były zasady. Głupie i utrudniające robotę, gdyby ktoś mnie zapytał. Czterej truposze przebywają obecnie w lodówkach na komisariacie, gdzie przejdą zestaw kompleksowych badań. Laboratoryjni spece wezmą ich w obroty, tu coś im wsadzą, tu rozetną, tam pogrzebią, a potem przygotują stosowny raport. Wszystko to w imię bezpieczeństwa materiału dowodowego, ale prawda jest mniej szlachetna – niektóre z ulepszeń mogłyby kosztować pokaźną sumkę na czarnym rynku. Oczywiście taki poważany i cieszący się szacunkiem glina jak ja nie połasiłby się na brudne pieniądze, ale kto wie, czy jakiś element nie ukrywa się za odznaką.
Ale miejsce zbrodni potrafi czasem dać równie dużo odpowiedzi, co sam denat. Dlatego tu jestem i mam zamiar zajrzeć w każdy zakamarek. Przyjrzałem się bliżej sprzętowi umieszczonemu w pokoju. Zdążyłem już przejrzeć pobieżnie bazy danych i budowa oraz wielkość stacji roboczych sugeruje, że powstały na przełomie dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku. Bez odpowiednich badań nie jestem w stanie stwierdzić, czy sprzęt jest autentyczny. Ale niezależnie od tego, czy jest to działający oryginał, czy oddana z należytą dokładnością kopia, to ktoś musiał zadać sobie sporo trudu, przygotowując go do użycia. Oraz przeznaczyć niemałe fundusze. Zanotowałem ten fakt i przeszedłem w stronę stanowiska, które wybrał mój nieznany mi jeszcze z imienia obywatel.
Skan w zakresie światła niebieskiego pokazał, że na fotelu niedawno ktoś siedział. Znalazłem nieco materiału biologicznego denata, choć o wiele mniej, niż spodziewałbym się znaleźć. Dziura, która pojawiła mu się w piersi, powinna pozostawić po sobie większy bałagan. „Kolejna ciekawostka do kolekcji”

– pomyślałem, przyglądając się bliżej stacji roboczej. Jakiekolwiek urządzenie zostało do niej podpięte, nie pozostał po nim nawet ślad. Próba uruchomienia sprzętu sporym, zielonym przyciskiem nie dała żadnego efektu. Monitor również nie wykazał chęci do współpracy. Dziwne.
Sprawdziłem jeszcze pozostałe trzy fotele, ale z podobnym efektem. W starciu z kolejnym sprzętem osiągnąłem to samo, co z poprzednim – ciszę oraz brak reakcji. Oczywiście. Za to moją uwagę przykuły dodatkowe ślady, prowadzące w stronę wyjścia. Czy ktoś był tutaj w oknie czasowym między zabójstwem, a moim przybyciem? Kolejna zagadka, zamiast prostych odpowiedzi, które spodziewałem się tu uzyskać. Poszwendałem się jeszcze po pomieszczeniu, przeskanowałem je w kilku długościach fali, ale nie znalazłem niczego nowego. Ruszyłem w stronę wyjścia, przyglądając się ścianie w poszukiwaniu mechanizmu otwierającego drzwi, teraz zamkniętych. Na moje szczęście nie spotkała mnie ani kolejna zagadka, ani rozczarowanie, prowadzące w konsekwencji do śmierci z odwodnienia. Bądź uduszenia, w zależności od tego jak przebiega tu cyrkulacja powietrza. Panel sterujący znajdował się dokładnie tam, gdzie powinien. Wyszedłem z powrotem w alejkę.
- Kurwa, znowu? – rzuciłem w stronę ciemnego nieba z którego spadały teraz ciężkie krople. Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, ruszyłem w stronę komendy.

***

Wolałbym siedzieć teraz w barze i w oparach dymu papierosowego składać do kupy elementy układanki. Wolałbym latać po mieście w rytm klasycznego synthrocka i wyciszyć adrenaliną niepokój, który znów rodził się na obrzeżach mojej świadomości. Wolałbym zamknąć się w mojej komórce mieszkalnej, odciąć wszystkie światła i leżeć na podłodze, ze szklanką rumu w jednej ręce i stymulantem emocjonalnym w drugiej. Rozejrzałem się i doszedłem do wniosku, że wolałbym nawet stać przy głównej ulicy i pytać ludzi kiedy znowu będzie padać.
Zamiast tego utknąłem w moim wspaniałym biurze. Gabinecie. Czy jakkolwiek inaczej można jeszcze nazwać kluczowy element wychowania gliniarza klatkowego. Klitka dwa metry na trzy, pozbawiona okien, za to z syntetycznym

stanowiskiem biurkowym, syntetycznym krzesłem, oddzielona od kolejnego pomieszczenia równie syntetyczną ścianką. Zasadniczo mogłem tu wejść przez przesuwne drzwi, stanąć wyprostowanym, nie szorując włosami po suficie (co zawdzięczałem swojemu średniemu wzrostowi, nie wysokości gabinetu) i rozłożyć ręce na boki, bez dotykania ścian. O ile ustawiłem się po skosie. I nie wyciągałem rąk równolegle do podłogi. A poza tym mogłem siedzieć przy moim stanowisku pracy. Oraz pracować, rzecz jasna.
Utknąłem zatem w moim wspaniałym biurze czekając na mojego wspaniałego szefa, który z pewnością wpadnie zapytać o postępy w sprawie szanownego denata. Nie byłem w najlepszym nastroju, a moje narzekanie i niechęć były tego najlepszym dowodem. Jasne, było mi ciasno, ale są ludzie, w najgorszych rejonach miasta, którzy w takiej przestrzeni muszą mieszkać. Zmieścić całe swoje życie w ciasnym, klaustrofobicznym boksie. Przerażające. Nawet wśród moich współpracowników cieszyłem się pewnymi przywilejami, bo miałem jakieś pół metra kwadratowego więcej. Co miało swoją cenę, oczywiście. Nie byłem zwykłym gliną. I miałem swoje atuty, których dowództwo użyczało za odpowiednią kwotę. Z zebranych dodatkowo funduszy zarząd mógł bez obaw o bliższą bądź dalszą przyszłość wynajmować komendę i posterunki. A ja w nagrodę miałem swoje pół metra kwadratowego więcej. Witaj, świecie przyszłości!

Próbowałem wrócić myślami do zabójstwa i poszlak, które udało mi się zebrać, kiedy usłyszałem kroki. Mogłem zalogować się szybko do kamer bezpieczeństwa i zobaczyć nadchodzącego gościa, ale miałem pewność co do jego tożsamości. Zebrałem się w sobie, konstruując w głowie najlepszą możliwą wymówkę, kiedy drzwi otworzyły się, ukazując mojego przełożonego. Uprzedził mnie, nim zdążyłem wykonać jakikolwiek gest.
- Cokolwiek robisz, zostaw – rzucił szybko, nerwowym głosem. – Stary Cappaldi zszedł.

***

Rodzina Cappaldich rządziła południową częścią miasta od co najmniej trzech wieków. Krążyły najróżniejsze plotki dotyczące sposobu, w jaki dorobili się ogromnej fortuny, a jedna była bardziej fantazyjna od drugiej. Ile w pochodzie

Cappaldich do władzy było przestępstw, ciemnych interesów i machinacji z pogranicza prawa? Nie miałem pojęcia. Wiedziałem jednak, że żadna firma, żadna organizacja i żaden, nawet najmniejszy detalista nie mogli prowadzić biznesu w Południowej Ćwiartce bez licencji rodziny, a często i pod jej protektoratem. Świat zamienił mechanizmy mafijne i system haraczu na legalne kontrakty, spółki i umowy partnerskie, ale efekt pozostawał ten sam. Zmieniły się jedynie nazwy i kolor rękawiczek, w jakich działano.

Lecieliśmy we dwójkę, żeby przyjąć oficjalne zawiadomienie o zgonie. Kierowałem radiowozem, a obok mnie siedział Jose. Był ulepszony niemal w równym stopniu, co ja, choć nasze cybernetyzacje różniły się tam, gdzie używaliśmy ich w zgodzie ze specyfiką naszych przydziałów. Czemu do wykonania rutynowego działania rodzina zmarłego zażyczyła sobie właśnie nas? Bo mogła. Najzwyczajniej w świecie, braliśmy właśnie udział w grze o wpływy. Choć to za pomocą nas rozgrywali partię inni uczestnicy. Czy mi to pasowało? Średnio, bo w pierwotnym założeniu nie dałem się pokroić, żeby robić potem za objazdową atrakcję do wynajęcia. Ale wszystko ma swoją cenę, dlatego siedziałem cicho i leciałem na spotkanie. W końcu to pół metra kwadratowego samo się nie spłaci.

- Swoje przeżył, co nie? – zagadnął Jose.

- Całkiem solidnie – odparłem. – Oficjalna kartoteka mówiła o stu czterdziestu ośmiu latach, ale cholera wie jak to z nimi jest tak naprawdę.

- Myślisz, że miał już dość i kazał wyciągnąć wtyczkę?

- Albo znudziło mu się życie na tronie. Bo nie sądzę, żeby sprzątnęła go rodzinka, od dawna był już tylko figurą, a nie pełnoprawnym graczem.

- Starość też nie, przecież mógł pociągnąć jeszcze długo. Stary Morita zaraz dobije dwusetki i ma się całkiem nieźle.

- W zasadzie to co za różnica? – zaśmiałem się głucho. – Powiedzą to, co będą chcieli nam powiedzieć. Nawet jeśli sprzątnął go ktoś z zewnątrz. Przeprowadzą swoje własne śledztwo, ukarzą kogo trzeba, a świat obiegnie oficjalna informacja o tym, jak to Merino Cappaldi odszedł w spokoju ducha, przeżywszy wspaniałe, wypełnione sukcesami życie.

- Parszywe to wszystko, co nie?

- Ano – zgodziłem się. – Parszywe.

Lecieliśmy przez jakiś czas w milczeniu. Tym razem to ja je przerwałem.

- Miałeś ostatnio jakiś kontakt z resztą chłopaków?
- A czemu pytasz? – zdziwił się Jose.
- Tak po prostu – wzruszyłem ramionami. - Siedzisz w tym samym bagnie, to mogę się domyślać jak sobie radzisz. Ale resztę porozrzucali po wydziałach i nie za bardzo wiem co się z nimi dzieje.
- Hmm – zamyślił się. – Jakiś czas temu zamieniliśmy kilka słów z Frankiem,. Tylko, że on w wewnętrznym, a my podlegamy pod jego jednostkę, to czasem musimy podsyłać mu raporty. Red kręcił się ostatnio koło Cybernetyków, ale po co, to nie wiem. Może chciał się przenieść – przerwał na dłuższy moment. – Ale to tyle. Siedzą, rozrzuceni po mieście, to ciężko ich złapać. Nas też, jeśli spojrzysz z ich perspektywy.
- Pewnie tak – zgodziłem się, bo co innego mi zostało. Najpewniej miał rację. – Dobra, koniec tego dobrego, trzeba lądować. Myślisz, że rozwiną nam czerwony dywan?
- Jasne – odpowiedział z uśmiechem. – I podadzą nam najlepszego, niezsyntetyzowanego szampana.

***

- Panowie pozwolą – zagaił odźwierny. Uśmiechał się przy tym wyuczonym grymasem. „My nie chcemy tu być tak samo jak ty nie chcesz, żebyśmy tu byli, uwierz” – pomyślałem, przechodząc przez bramkę. Zdusiłem w sobie chęć odwzajemnienia uśmiechu.
Nie pozwolili nam zaparkować na terenie posiadłości, dlatego musieliśmy przejść kilkanaście metrów do ogrodzenia i kolejną setkę do samej rezydencji. Rozglądając się,. przypomniałem sobie moje trzy metry na dwa, a przy okazji też mieszkanie na dwieście trzydziestym ósmym piętrze wielorodzinnego molocha mieszkalnego, zwanego gdzieniegdzie Chlewnią. Jose mieszkał w podobnym, zwanym Owczarnią.
- Aż serce rośnie, jak się na to patrzy – zagaiłem po cichu mojego towarzysza. Jeśli odźwierny usłyszał cokolwiek, nie dał tego po sobie poznać.
- Co nie? – równie cicho odpowiedział Jose. – Nic tylko włamać się w nocy i uskutecznić nieco starej, dobrej samowolki budowlanej.
- A potem przenieść tu wszystkich tych biedaków z Fermy – zgodziłem się z nim.

Na dźwięk ostatniego słowa odźwierny skrzywił się w sposób równie nagły, co widoczny. Czyli słyszał.
Dalszą drogę przeszliśmy już w ciszy. Nie ma co dalej drażnić biednego człowieka, który tylko wykonuje swoje obowiązki. Pogarda do niższych statusem jest przecież wymogiem proceduralnym, nie cechą charakteru. Z pewnością.
- Proszę zaczekać – odźwierny doszedł do pustej ściany, po czym przyłożył rękę do płaskiej powierzchni. Po dwóch sekundach ukryte drzwi rozsunęły się, a my weszliśmy do wysokiego holu. Nasz przewodnik wskazał nam stojącą pod jedną ze ścian kanapę, po czym stanął w przeciwległym końcu pomieszczenia. Usiedliśmy. Dotknąłem powierzchni, czując pod palcami coś, co zdecydowanie nie było sztuczne. Czyli musiało być cholernie drogie. Doświadczyłem luksusu, być może po raz ostatni w moim życiu. Rozejrzałem się po pomieszczeniu, umeblowanym w stylu pokoju gościnnego z końca osiemnastego wieku, ścianom obwieszonym obrazami oraz ogromnemu żyrandolowi, zwisającemu spod eleganckiego sufitu. Wszystko to miało jeden cel – od wejścia poinformować gości o pozycji gospodarza. Musiałem się powstrzymywać, by nie zagwizdać równie donośnie, co ordynarnie.
Po kilku minutach otworzyły się kolejne niewidoczne do tej pory drzwi, a do sali weszła młoda kobieta. Cała w czerni, z woalem przysłaniającym pół twarzy i rękawiczką na lewej dłoni. Przeszła po cichu przez pomieszczenie i zatrzymała się około dwóch metrów od nas. Czekała. Wstaliśmy, jak na komendę.
- Szanowna pani – zacząłem. – Jestem detektyw Marino, a to detektyw Fernandez – wskazałem na Jose. – Wydział dochodzeniowy komendy głównej New Aztec. Proszę opowiedzieć nam wszystko po kolei.

***

Powietrzna taksówka zaparkowała na miejscu postojowym wyznaczonym na szczycie budynku Głównej Siedziby Mediów New Aztec. Skryta pod obszernym płaszczem postać wysiadła z samochodu, a pojazd natychmiast odleciał. Pasażer rozejrzał się dookoła i szybkim krokiem ruszył w stronę talerzy nadawczych. Zatrzymał się przed nimi, usiadł na dachu i wyjął spod płaszcza płaskie, czarne urządzenie. Wysunął z niego krótki kabel, przytrzymał i dokręcił na jego końcu cienką antenę. Stuknął w urządzenie, nad którym uniósł się holograficzny schemat

budynku. Dotykając projekcji, postać zwiększyła mapę i przesunęła ją o kilka poziomów niżej. Manewrując hologramem, dotarła do pomieszczenia oznaczonego na czerwono i zatrzymała na nim palec. Po kilku sekundach pojawił się zegar, odliczający czas od piętnastu do zera oraz panel z klawiaturą. Osoba w płaszczu ponownie przytrzymała palec, tym razem na zegarze. Kiedy do końca odliczania pozostały trzy sekundy, panel nad klawiaturą wypełnił się ciągiem znaków. Zegar zniknął, a pomieszczenie zmieniło kolor z czerwonego, na szary.

Postać wyciągnęła z kieszeni mały, srebrny dysk, który położyła na urządzeniu. Pojawił się mniejszy hologram, przedstawiający ustawione w rzędzie czarne, prostokątne kontenery. Hacker zaczął je przesuwać, jeden po drugim, do szarego pomieszczenia. Po każdym ruchu pojawiał się zegar i startowało odliczanie, ale metoda zastosowana za pierwszym razem była tak samo skuteczna przy każdym kolejnym. Kiedy ostatni z kontenerów zniknął wewnątrz pomieszczenia, to zmieniło kolor na zielony.

Hacker odkręcił antenę, wsunął kabel z powrotem, zabrał dysk i włożył sprzęt pod płaszcz. Wstał, ponownie rozejrzał się dookoła i ruszył wolnym krokiem. Szedł prosto przed siebie, aż znalazł się na skraju dachu. Zatrzymał się i kolejny raz rozejrzał się na wszystkie strony. A potem skoczył.

***

Parszywe miasto. Parszywi ludzie je zamieszkający. Wszystko parszywe. Ja też jestem parszywy, wiem o tym. Znowu pada, grube krople spadają na moją łysą głowę i rozbijają się o wzmocnioną kevlarem skórę pokrywającą czaszkę. Parszywy deszcz. Wszystko parszywe. Niech to piekło pochłonie, raz a porządnie.

Mijałem witryny, które jeszcze kilka lat temu zachęcały klientów i wabiły drogimi towarami, a teraz sprzedają artykuły pierwszej potrzeby. Jubiler zmieniony na lombard, sklep z elektroniką przerobiony na podrzędną jadłodajnię. Po niedawnym luksusie nie pozostał nawet ślad. Miasto wchłonęło kolejną dzielnicę, przeżuło, posilając się tym, co dobre i wypluwając marne resztki nam, ludzkim śmieciom. Jeszcze nikt nie postawił muru, oddzielającego biedotę od krezusów panów ich losu, ale kto wie, ile to zajmie. Wystarczy odrobinę przesunąć granicę zuchwałości. Parszywe miasto.

Stracony dzień, stracony czas, a trup stygnie z każdą minutą coraz bardziej

i bardziej. Metaforycznie, rzecz jasna, bo pewnie wrócił już do lodówki, pokrojony i sprawdzony z każdej strony. Ale dziś już za późno, żeby go odwiedzić. Samo przyjęcie zeznań zajęło nam dwie godziny. Dwie! Pani Cappaldi udawała lepiej, niż mógłbym się spodziewać. Poziom żalu, dezorientacji, a nawet pewnego rodzaju lęku, który zaprezentowała, z pewnością zasługiwałby na nagrodę, gdyby został przedstawiony na scenie. No i gdyby był jeszcze ktoś, kto miałby czas takie nagrody przyznawać. Po tym pięknym pokazie wróciliśmy z Jose na komendę, żeby wziąć udział w kolejnej odprawie dotyczącej planów pogrzebowych i stosownego zabezpieczenia z naszej strony. Oczywiście. Więcej roboty i skakania wokół bogaczy.

A teraz chodziłem po ulicach i szukałem zaczepki. Szwendałem się z nadzieją, że ktoś mnie sprowokuje, zaatakuje, napadnie, będzie próbował okraść albo zastraszyć. Cokolwiek, bylebym tylko mógł wyładować napięcie. Nie musiałem bać się o siebie, moje ciało stanowi zabójczą mieszankę siły, szybkości i wytrzymałości. Są granice, których przekroczyć nie mogę, bez poniesienia konsekwencji, ale prawo do połamania kilku gości w samoobronie przysługuje mi jak wszystkim innym. Dlatego zamiast wrócić do domu, albo zaczepić się na drinka w jakiejś podłej spelunie, krążyłem po ulicach, mijałem neonowe reklamy, wsłuchiwałem się w szum pojazdów przelatujących nad moją głową i szukałem okazji. Tylko, jak na złość, dziś jest spokojnie. Dziś jest cicho, jak na warunki tego miasta. Chyba nic z tego.

Zaczynam przytomnieć. Powoli doprowadzałem do porządku swoje emocje. Co mi tak naprawdę zrobili ci ludzie? To biedacy, pechowcy, którzy znaleźli się w równie podłej sytuacji, co ja. Skopanie takiego nie przyniesie mi ulgi. Nie w dłuższej perspektywie. Zwolniłem, rozluźniłem mięśnie i aktywowałem jeden z implantów mózgowych. Cisza w głowie zaczęła wypełniać się dźwiękami. Jakiś elektroniczny klasyk sprzed wieków, płynący transowym rytmem. Moja ścieżka dźwiękowa do parszywego życia. Niech tak będzie. Szedłem i obserwałem okolicę, przypominając sobie czasy, kiedy chciałem zostać dziennikarzem. Chodzić tymi ulicami i zbierać historie od ludzi, o których świat zapomniał. Tak dawno temu, zanim pojawił się Program.

Mam robotę do wykonania. Sprawę do rozwiązania, poszlaki do posegregowania i ułożenia w jakąś logiczną całość. Próbuję sobie przypomnieć wszystkie szczegóły. Chłopak miał ogromną dziurę w piersi, widziałem to na nagraniu, które

otrzymaliśmy na policyjnym kanale zgłoszeń. To gdzie w takim razie podział się cały materiał biologiczny? Ciało zostało zabrane, ale wszystko inne powinno zostać aż do momentu przybycia ekipy sprzątającej. Czy to nowy rodzaj broni, który wypala materię, nie pozostawiając śladu? I, przede wszystkim: kto i skąd strzelał? Pomieszczenie nie ma dodatkowych drzwi, nie znalazłem dodatkowych wnęk czy przesuwnych ścian, poza wejściem. Wychodząc, musiałem otworzyć sobie przejście, bo zamknęło się automatycznie. Ktokolwiek oddał strzał, musiał być już na miejscu, bo ofiara nawet na sekundę nie odwróciła się w stronę wejścia. Czy to ślad kroków zabójcy widziałem na podłodze? Kiedy wyszedł? I co do jasnej cholery to wszystko znaczy?

Muszę przysiąść i pospisywać wszystkie pytania, a potem spróbować dopasować do nich możliwe odpowiedzi. Poszperać i posprawdzać. Dowiedzieć się, do kogo należy pomieszczenie z antycznym sprzętem. Może tam znajdę jakąś podpowiedź. Wraca mi jasność umysłu, zauważyłem. Bo pomieszczenie to trop, od którego powinienem zacząć. Pobudzony tą myślą, włączyłem implant nawigacyjny i zrzuciłem wybór knajpy na automat. Niech mnie prowadzi. Zanim dostałem wytyczne mojej trasy, wleciało połączenie. Komenda. Dowódca. Nie mając za bardzo wyboru, odebrałem. A potem wszystko się zesrało.

***

- Za ile cię kupili, psie?! – zdążyłem usłyszeć, nim butelka rozbiła się na ulicy, pół metra ode mnie. Wciąż za mało, żebym mógł zareagować. Albo dokładnie wiedzą co robią, albo mają szczęście. Doświadczenie każe mi stawiać na to drugie.

- Proszę się rozejść! – rozbrzmiało z głośniko-dronów. – Wszelkie formy zgromadzeń publicznych w liczbie powyżej trzydziestu są nielegalne, rozporządzeniem numer dwa, siedem, trzy, jeden, Kodeksu Zasadniczego New Aztec. Funkcjonariusze są gotowi użyć wszelkich możliwych środków, niezbędnych do zaprowadzenia porządku. Powtarzam, proszę się rozejść! Wszelkie…

- Dość opresji! – tłum liczył co najmniej dwucyfrową wielokrotność dozwolonej trzydziestki i nie wyglądał, jakby miał wziąć sobie do serca jakiekolwiek rozporządzenia. – Domagamy się rozliczeń! Domagamy się odpowiedzialności dla wszystkich! Domagamy się…

Tworzyliśmy szpaler, między rozwrzeszczaną tłuszczą, a ogrodzeniem posiadłości Cappaldich. Dwa rzędy po pięćdziesiąt metrów w obie strony od bramy, pojedynczy rząd na kolejnych dwustu metrach i dodatkowy funkcjonariusz co półtorej metra wzdłuż reszty płotu. Choć teraz bardziej pasowałoby określenie: palisady. Gdzie my robiliśmy jednocześnie i za fosę i za krokodyle. Mieliśmy stanowić bufor, wyglądać groźnie, a w razie bezpośredniego kontaktu mieliśmy pełne prawo gryźć. Metaforycznie, rzecz jasna, choć podejrzewam, że nie byłem jedyny, który mógłbym to zrobić w sposób dosłowny.

Jednocześnie cyber-specjaliści z komendy do spółki z działem deszyfracji, próbowali dojść do źródła rewelacji, które ruszyły ludzi z domów i zamieniły je w żądnych krwi demonstrantów. Cóż, wiadomości dotyczące powiązań, brudnych interesów i przestępczych działań jednej z największych i najbogatszych rodzin zamieszkujących New Aztec były doskonałym powodem do rozpoczęcia zamieszek. Nie byłem w stanie powiedzieć, czy informacje były prawdziwe – tym zajmowały się obecnie odpowiednie zespoły – ani w jaki sposób przeszły one przez sito weryfikacyjne największych serwisów w mieście. Wstępne oświadczenie prezesów i rady nadzorczej zrzucało odpowiedzialność na nieznanych jeszcze sabotażystów. To też wezmą na warsztat nasi cybernetycy. To nie mój problem. Moim było zatrzymać stojących naprzeciw mnie obywateli, przynajmniej do momentu decyzji o pacyfikacji. Kolejna butelka rozbiła się niedaleko, a wraz z nią padły kolejne obelgi.

- Co tam tak myślisz, piesku? Nie myśl tyle, bo ci to nie idzie. Przecież was nie biorą do roboty dla intelektu, bylebyś umiał machnąć pałą.

- Chodź się przekonać, czy to prawda – odkrzyknąłem. – Dalej. Zrób mi dzień.

Obaj wiedzieliśmy, że nic z tego nie wyjdzie. Ja nie mogłem go ruszyć jako pierwszy, on miał świadomość jak skończy, jeśli zmusi mnie do obrony. Trwaliśmy w impasie, ale nie przeszkadzało nam to wymieniać inwektyw. I takie intensywne dialogi toczyły się w niemal każdym fragmencie żywego muru, który zbudowaliśmy. To, że łamaliśmy wszelkie wytyczne ze starych podręczników policyjnych negocjatorów, nie miało znaczenia. Jeśli mieliśmy tym doprowadzić do zakończenia protestu, metody i potencjalne straty wśród cywilów miały znaczenie drugorzędne. Nieoficjalnie, oczywiście. Oficjalnie czekaliśmy, aż centrala uruchomi procedury awaryjne i sama zajmie się rozwiązaniem problemu.

- Ostatnie ostrzeżenie – zagrzmiał najbliższy mnie głośniko-dron, choć wszystkie

inne, rozmieszczone nad tłumem, nadawały symultanicznie. – W zgodzie z rozporządzeniem dwa, dwa, osiem, cztery Kodeksu Zasadniczego New Aztec, wprowadzona zostaje procedura postępowania awaryjnego. Wszyscy protestujący mają trzysta sekund na rozejście się i zakończenie demonstracji, licząc od teraz. Powtarzam…

- Oho – rzucił głośno stojący obok mnie posterunkowy. – Zaraz się zacznie.
- Co obstawiacie? – zapytał kolejny.
- Fale dźwiękowe.
- Oślepienie z dronów.
- Dadzą nam pozwolenie na użycie siły.

Przekrzykiwali się, wymyślając coraz to nowe sposoby na uspokojenie sytuacji. Nie brałem udziału w wyliczance, po prostu czekałem. Tłum nie sprawiał wrażenia gotowego do pokojowego odejścia, więc działanie było nieuniknione. Pozostało tylko odliczyć do trzystu.

- Każdy funkcjonariusz proszony jest o niezwłoczne wyciszenie i unieruchomienie implantów komunikacyjnych wszelkiego rodzaju – rozległo się na naszym prywatnym kanale, kiedy tylko odliczanie dobiegło końca. Sprytne. Wyłączyłem swoje wszczepy i czekałem. Nie minęło dziesięć sekund, a niemal wszyscy protestujący padli na ziemię, trzęsąc się i krzycząc. Ci nieliczni, którzy utrzymali się na nogach, patrzyli zdezorientowani. Za moment przeliczą siły i rzucą się do ucieczki. Nie byłem pewien, czym się posłużono, choć patrząc na reakcje, obstawiałbym infradźwięki o minimalnej częstotliwości i maksymalnym, bezpiecznym poziomie decybeli.

Spryt całego rozwiązania polegał na tym, że zdecydowana większość mieszkańców posiada wewnątrz swoich czaszek jakąś formę implantów komunikacyjnych, czy to radiowych, informatycznych, telekomunikacyjnych czy wiązek kierunkowych. Bez względu na formę i sposób użytkowania, każdy z nich musi być dostrojony do miejskiego pasma alarmowego. Takie są zasady. Można je nagiąć, owszem, ale mało kto odważyłby się na modyfikowanie własnego łba w nielicencjonowanych zakładach. A jako że większość protestujących nie zdawała sobie sprawy z możliwości, jakie niesie ze sobą istnienie ogólnodostępnego kanału, wystarczyło przesłać dźwięk o odpowiednich parametrach. W kilka sekund było po wszystkim. A nam pozostało poczekać na służby porządkowe, które zajmą się uprzątnięciem bałaganu.

***

Niepokoje w mieście utrzymały się do samego pogrzebu, angażując wszystkie dostępny siły i odciągając mnie od mojej sprawy. Minęły już cztery dni, od kiedy wszedłem do tajemniczego pomieszczenia, a ja nie byłem nawet o krok bliżej do rozwiązania. Gdybym był podatny na różnego rodzaju teorie spiskowe, podniósłbym temat wielkiego zbiegu okoliczności i doskonałego zgrania w czasie ostatnich wydarzeń. Gdybym. Ale to duże miasto, dużo się w nim dzieje i daleko mi do połączenia wszystkiego w jedną, skupioną na mnie i mojej sprawie całość. Wiem, że świat nie kręci się wokół mnie. A jednak coś mi tu nie pasowało. Choć udostępnione informacje o Cappaldich zostały oficjalnie zdementowane, to ktoś je wypuścił. Zawsze w takiej sytuacji warto zadać pytanie: kto. Oraz co na tym zyskał.

Niezależnie od odpowiedzi, moja rola w tym spektaklu, rozgrywanym w blasku fleszy i w oparach wysokoklasowego absurdu, była zakończona. Cokolwiek z tego wyjdzie, działania i ustalenia zostaną podjęte wiele poziom wyżej. Mogłem wrócić tam gdzie moje miejsce. Znajomy i bezpieczny rynsztok przyjął mnie z powrotem w swoich progach. A ja udałem się do laboratorium, gdzie z pewnością czekał na mnie obszerny raport o szanownym denacie.

- Nie ma.

- Jak to nie ma? – odparłem zdziwiony.

- No nie ma – Mano, laboratoryjny spec patrzył na mnie z równie dużym zdziwieniem, co ja na niego. – Osobiście nadzorowałem wszystkie przyjęcia w ostatnich dniach. Wiesz, przez ten pierdolnik z Cappaldimi, mieliśmy mało rąk do pracy, większość oddelegowali do opanowania sytuacji. I choć przewinęło się tu sporo ciekawych przypadków, to jednak gościa z dziurą na pół klatki bym zapamiętał.

- Pierdolisz – nie wytrzymałem. – To jakiś kawał, prawda?

- Czy ja wyglądam jak ktoś z wyrafinowanym poczuciem humoru? Mówię, że nie ma. A jak nie ma, to nie ma. Nie wyczaruję ci trupa z powietrza. Mam wystarczająco dużo tych prawdziwych.

Stałem przez kilka chwil, bez słowa i najmniejszego ruchu, zastanawiając się nad dziwną grą, w której z jakiegoś względu brałem udział. Mano musiał zauważyć, że nie drę sobie z niego łacha.

- Zróbmy tak: prześlę ci wszystkie raporty medyczne z ostatniego tygodnia. Przejrzyj je, poszukaj, przekonaj się sam. A jeśli coś pomieszałem, to na następnej firmówce stawiam drinka. Może być?

Skinąłem głową. Co innego mi pozostało? Po chwili dostałem powiadomienie o przesyle danych, bezpośrednio do moich mózgowych banków pamięci. Bez słowa uścisnąłem Mano dłoń i wyszedłem. Potrzebowałem powietrza.

***

- Jesteś pewien, że nic nie przegapiłeś?

- Absolutnie. Przejrzałem wszystko, strona po stronie.

- Daj mi się zastanowić.

Ted Kaminsky. Mój mentor z czasów szkolnych. Człowiek, przez którego o mało nie zostałem dziennikarzem śledczym. Umiał rozwiązywać zawiłe łamigłówki zanim ktokolwiek inny kończył zbierać i podsumowywać zmienne. Znajdował odpowiedzi w miejscach, gdzie na innych czekały tylko wątpliwości. Wspaniały człowiek. Szkoda, że od dziesięciu lat był martwy. Pełen skan jego genialnego umysłu został zdigitalizowany i przebudowany na funkcjonalny model sztucznej osobowości, symulujący swój pierwowzór w stopniu niemal doskonałym. Zamieszkiwał wewnątrz mojej głowy, w specjalnie wyznaczonej przestrzeni mózgowej. I był gotowy na każde moje wezwanie, jeśli potrzebowałem pomocy z odbijaniem pytań, pomysłów i hipotez. Rozmawiałem z duchem, żeby znaleźć ducha.

- Czy jest szansa, że Mano został przekupiony? – Ted wrócił do mnie po kilku minutach.

- Szansa zawsze jest. Ale nie sądzę – zastanowiłem się. – Ktokolwiek chciałby ukryć zwłoki, musiałby najpierw znaleźć dojście do Mano. A to samotnik, spędzający czas ze sobą i ze swoimi umarlakami. Introwertyk, o ile w tych czasach można kogoś tak nazwać.

- Możemy z dość dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że twoje założenie jest słuszne. W takim razie bierzemy pod uwagę kolejną opcję: ktoś pozbył się ciała w drodze z miejsca zbrodni do laboratorium?

- To możliwe, ale też mało prawdopodobne. Transfer ciał wykonują drony. I raczej mało kto poza laboratorium i śledczymi wie, jak ten proces przebiega. Takie

założenie musiałoby uwzględnić udział kogoś z wewnątrz. A to całkowicie komplikuje sprawę. Na razie wolałbym to wykluczyć.
- W porządku. Czy powrót na miejsce zdarzenia może dać kolejne odpowiedzi? Zaczynając od tej, czy to ciało rzeczywiście tam było.
- Ciekawe – zamyśliłem się. – Ale są małe szanse, że coś znajdę. Mogę potwierdzić, że w pomieszczeniu ktoś był, to tak. I że robił to, co widziałem na nagraniu. Nie dostaliśmy dalszej części, zapis urywa się chwilę po strzale, a sam pokój był odcięty od monitoringu, więc nie wiem, co działo się w pomieszczeniu później. Obecności dronów nie wykryję, bo to drony. Skonstruowane tak, żeby nie pozostawiać po sobie śladów i nie naruszać dowodów. Więc niewiele tego. Jedyne, co może być wskazówką, to dodatkowe ślady kroków, prowadzące do drzwi.
- To jest interesujący punkt – Ted przyznał mi rację. – Jakaś szansa na wydobycie czegokolwiek z tej poszlaki?
- Niestety nie. Wiem tyle, że ktoś wychodził, ale nie jestem w stanie określić nic więcej. Ślad pozostał widoczny jedynie w zakresie światła niebieskiego. Najpewniej ten, kto go zostawił, nie był tego świadomy. Ale to wszystko co mam. Nie był to nawet ślad jako taki, co raczej powidok.
- Czyli tak – mój przyjaciel z zaświatów zaczął podsumowanie. - Ciała brak. Raportu brak. Motywu brak. Narzędzia zbrodni brak. Tożsamości ofiary brak. Poszlak brak. Pomysłów brak. Możemy śmiało założyć, że znalazłeś się w czarnej dupie.
- Nic dodać, nic ująć – zaśmiałem się, choć nie było mi do śmiechu.
- Dowiedz się, kto jest właścicielem budynku i czy może ci powiedzieć cokolwiek o ukrytym pomieszczeniu. Przeszukaj infosferę i zobacz, czy są jakiekolwiek wzmianki o miłośnikach, fanach i kolekcjonerach dawnych technologii. Ktokolwiek przygotował to pomieszczenie, musiał znać się na rzeczy. Jeśli ani tu, ani tu nie znajdziesz nic ciekawego, wróć do mnie.
- Dziękuję Ted, jak zawsze.
- Do usług, jak zawsze. Mogę już iść spać? Wiesz, jaki jestem stary.
- Dobranoc Ted – pożegnałem go, po czym wyłączyłem symulację osobowości.

***

Poduszkociąg sunął ponad torem z zawrotną prędkością. Nocną linią, łączącą dwa

krańce kontynentu, była zazwyczaj zajęta do ostatniego miejsca, wypełniona ludźmi chcącymi szybko i tanio dostać się jak najdalej od obecnego miejsca pobytu i rozpoczęcia nowego życia. Maszyna mijała najwyższe wieżowce, przemykając pędem w niewielkiej odległości od zabudowań i gnając ku miejscu docelowemu.
Podczas jednej z takich mijanek, z dachu budynku wystrzeliła linka, przyczepiając się do boku pozbawionego okien wagonu. Linka ta rozwijała się, naprężała, aż wreszcie pociągnęła za sobą swój ładunek. Wspomagając się grawiterem i utrzymując dzięki niemu równowagę, za pociągiem poleciała młoda dziewczyna. Aktywowała mechanizm kołowrotka, skracając dystans dzielący ją od wagonu. Kiedy dobiła do celu, przyłożyła obie dłonie do powierzchni, i zwolniła linkę za pomocą szybkiego kopnięcia. Dziewczyna odczekała moment, po czym zaczęła wspinać się w stronę dachu.
Nie minęła minuta, kiedy była już na szczycie, klęcząc i wciąż trzymając dłonie na wagonie. Powoli oparła się kolanami o dach, oderwała jedną z rąk i aktywowała laserowe ostrze, umieszczone w palcu serdecznym. Zataczając szeroki okrąg, wzdłuż własnego ciała, wycięła dziurę w materiale. Powtórzyła cięcie jeszcze dwa razy. A potem, wraz z wyciętym okręgiem spadła w głąb wagonu.

***

Jednym z dodatkowych usprawnień, które otrzymałem dzięki Programowi, był najwyższej klasy zestaw hackerski. Mogłem wejść do cyberprzestrzeni jak każdy, przechodzić od infosfery do publicznych przestrzeni jak każdy i odwiedzać kanały prywatne na zaproszenie. Również jak każdy. Ale w przeciwieństwie do innych, mogłem sam sobie przygotowywać zaproszenia tam, gdzie chciałem, pozostawać niewidzialnym kiedy tego chciałem i otwierać ścieżki połączeń do miejsc domyślnie niewidocznych, jeśli chciałem. Nie było to narzędzie, z którego korzystałem zbyt często, ale bywało przydatne.
Podłączyłem się i przeniosłem świadomość w odmęty cybernetycznego świata. Zanim po raz pierwszy wkroczyłem do cyberprzestrzeni, wyobrażałem sobie to miejsce jako ogromne miasto zbudowane z danych. Z jakiegoś względu moja wyobraźnia podsuwała mi właśnie ten obraz. Okazało się, że jednocześnie miałem rację i jej nie miałem. Świat wirtualny to przede wszystkim matematyka, liczby i długie linie kodu. A na to można położyć taką nakładkę, jaką się chce. Albo na

jaką nas stać, bo czemu by nie zarobić na wersjach premium?
Sam najczęściej wybierałem Hotel. Węzły komunikacyjne układały się w korytarze, pokoje sypialne robiły za wizualizacje przestrzeni prywatnych, a lobby, jadalnia, część rekreacyjna i cała reszta pomieszczeń dostępnych w prawdziwym hotelu, pozwalały wejść do publicznej części cyberprzestrzeni. Była jeszcze recepcja, pełniąca funkcję infosfery, ale tam się nawet nie zbliżałem. Ruszyłem w stronę lobby, żeby rozpocząć moje poszukiwania.
Potrzebowałem informacji o konkretnym budynku, a te najczęściej można znaleźć w oficjalnych dokumentach miejskich. Czyli w pomieszczeniu dyrektora hotelu. Ruszyłem przed siebie właściwym korytarzem i po krótkiej chwili stanąłem przed drzwiami. Nie wyróżniały się niczym, nie były zbudowane z płynących linii kodu, nie emanowały żadną poświatą ani nie wyglądały jak ciąg kabli. Drzwi jak drzwi, solidne, drewniane, otwierane za pomocą karty magnetycznej. Mógłbym całej cyberprzestrzeni nadać dowolny wygląd, najbardziej odjechany, jaki mógłby mi przyjść do głowy. Hotel mógł wydawać się nudny, mało efektowny i być marnotrawstwem potencjału, a jednak w tej staroświeckiej, prostej przestrzeni czułem się najlepiej. I łatwiej było mi się połapać co i gdzie się znajduje. Cyberprzestrzeń to naprawdę ogromne miejsce i łatwo się w niej zgubić.
Biuro dyrektora było zamknięte i niedostępne dla zwykłych obywateli. Dla nich umieszczono na ścianie tablicę ogłoszeniową, pozwalającą przejrzeć informacje podane publicznie. Jako funkcjonariusz policji, miałem jednak dostęp nadzwyczajny, aktywowany za pomocą numeru odznaki. To też zrobiłem, podałem właściwy powód, odczekałem kilka sekund, a przede mną zmaterializowała się karta magnetyczna. Użyłem jej do otwarcia drzwi i wszedłem do środka.
W biurze nie natknąłem się na żadną żywą istotę co oznaczało, że nikt poza mną nie korzystał w tym momencie ze znajdujących się tu baz danych. Może to i lepiej. Nie mam nic przeciwko szybkim interakcjom z innymi awatarami, a wszystko co robię mogę zachować dla siebie, ukrywając się za tajnością śledztwa. Co zresztą nie jest wcale dalekie od prawdy. Ale nie jestem pewien gdzie szukać i od czego zacząć, dlatego otaczająca mnie pustka działała na korzyść moją i mojego skupienia.
Rozejrzałem się, próbując osadzić siebie w podobnej funkcji. Gdzie umieściłbym takie dane? Zdecydowałem się i podszedłem do regału wypełnionego segregatorami. Półki były oznaczone i podpisane, ale nie było tu niczego, co

mogłoby mi pomóc. Faktury, zamówienia publiczne, wykaz stanowisk niezbędnych do funkcjonowania miejskiego organizmu, aktualne wakaty i cała sterta podobnych, równie nudnych szpargałów. Nic dla mnie. Podszedłem do biurka, ignorując stojący na blacie komputer – cokolwiek w nim było, miało stopień tajności zbyt wysoki jak na to, czego potrzebowałem. Nikt nie zadawałby sobie trudu, żeby szyfrować tego typu informacje.

Biurko miało za to całkiem sporą szufladę. Pociągnąłem i ani drgnęła. Dziwne. Spróbowałem ponownie, wkładając więcej siły, ale wciąż bez efektu. Uklęknąłem, żeby przyjrzeć się z bliska i poszukać zamka, panelu, klawiatury bądź jakiejkolwiek innej formy zamknięcia, ale nic nie znalazłem. Gładka, czysta powierzchnia. No trudno, nie tym razem. Choć moja ciekawość zapewne każe mi wrócić w to miejsce już po zakończeniu śledztwa. Nie lubiłem zagadek, których nie rozwiązałem,

Wróciłem do celu mojej wizyty, kierując się kolejno do metalowej szafki, sporej wielkości komody i barku wypełnionego butelkami, ale wszędzie osiągałem ten sam efekt. Usiadłem na miękkim, obitym fotelu i zacząłem się zastanawiać. Co przeoczyłem? Gdybym był urzędasem, który musi zorganizować przestrzeń biurową, gdzie wrzuciłbym dokumenty dotyczące budynków? Ponownie spojrzałem na regał, od którego zacząłem. I wtedy mnie olśniło. Miałem ochotę sam siebie zwyzywać za głupotę.

Sięgnąłem po segregator opatrzony dużym napisem „faktury". Oczywiście. Poza terenami należącymi do największych rodów, żaden budynek nie może zajmować przestrzeni miejskiej bez odpowiedniej zgody oraz opłaty. Ciągły wzrost populacji sprawia, że każde dostępne miejsce jest na wagę złota, dlatego też buduje się w górę, nie wszerz i wzdłuż. A za każdy metr kwadratowy powierzchni trzeba zapłacić i to nie jednorazowo. Otworzyłem segregator i zobaczyłem unoszącą się nad nim interaktywną tabelę.

Wyklikałem kolejne okna, żeby krok po kroku, dostać się do interesującej mnie sekcji. „Wynajem i dzierżawa". Aktywowałem mapę miasta, podzieloną na sektory i zacząłem kierować się w stronę budynku stojącego przy Alei Trzysta Dwudziestej Dziewiątej. I wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Kiedy byłem już dwie przecznice od celu, mapa zamigotała, zafalowała i zgasła. Segregator wrócił do ustawień początkowych, a ja zakląłem siarczyście. Powtórzyłem od początku wszystkie kroki, zrzucając usterkę na rzecz chwilowej czkawki systemowej. Ale kiedy

zbliżałem się do celu, całość ponownie przeszła reset.
Wiedziony niejasnym przeczuciem, postanowiłem spróbować od nieco innej strony. Dotarłem ponownie do działu „Wynajem i dzierżawa", ale zamiast wywoływać mapę, otworzyłem alfabetyczny spis ulic. Dojechałem do Trzysta Dwudziestki Dziewiątki, zadowolony z własnego pomysłu, ale kiedy tylko nacisnąłem na jej nazwę, ponownie coś zamigotało. Tym razem nie tylko tabelka, ale cały świat dookoła mnie. Ocknąłem się sekundę później, oparty plecami o ścianę, obok przewróconego barku. Szumiało mi w głowie, a świat wydawał mi się niewyraźny. Próbowałem się podnieść, kiedy pomieszczeniem zatrzęsło, ściany zaczęły się rozsypywać, a w podłodze wykwitła powiększająca się szybko dziura. Chwilę później wykopało mnie do zwykłej rzeczywistości.
- Co do kurwy?!

***

- Co do kurwy?! – rzuciłem w pustą przestrzeń mojej klitki mieszkalnej po raz piąty w ciągu ostatniej minuty. Chodzę od ściany do ściany. Miotam się. Jestem wkurzony. Nie rozumiem. Jestem zdezorientowany. Wkurzam się. Jeśli jakieś uczucie dominuje, to właśnie to. Wkurzam się. Bardzo.
Zdarzało mi się łamać różnego rodzaju zabezpieczenia. Bywałem ścigany przez boty, atakowany przez programy bezpieczeństwa, przemykałem między exploitami i trojanami, kiedy trzeba było zapuścić się w czarnorynkowe rejony. Uciekałem, chowałem się, atakowałem, oszukiwałem, planowałem i broniłem się. Ale jeszcze nigdy nie zostałem w tak bezczelny sposób wykopany z sieci. Tak prosty, bezceremonialny, jak jakiś podrzędny amator.
Można by to uznać za przechwałkę, ale cokolwiek to było, było cholernie zaawansowane. Byle program, byle zabezpieczenie czy byle firewall nie mógłby mnie tak załatwić. Ktokolwiek stawiał tę blokadę, wiedział co robi. I wiedział gdzie to robi. Czy spodziewał się, że będę węszył? Ja, czy jakikolwiek inny glina? Nie mam pojęcia. Ale to kolejny przypadek, który dopisuję do listy już zarejestrowanych przypadków. A kiedy zbiera ich się tak wiele, zaczynam szukać drugiego dna. A może i trzeciego. Cholera wie. Ktoś ze mną pogrywa, a ja nie lubię, jak się ze mną pogrywa. Dlatego się wkurzam.
- Co do kurwy?! – niemal wyplułem z siebie. Ze złością. Z przekąsem.

Z zapowiedzią tego, co zrobię osobie odpowiedzialnej za obecną sytuację. A zrobię. Tylko muszę ją znaleźć.
Zwalczam w sobie chęć wywołania Teda. Niewiele mi teraz pomoże jego dedukcja i chłodne spojrzenie. To moja robota, moje emocje i moja gra. Nawet jeśli nie jestem jeszcze pełnoprawnym graczem. Dlatego czas przejąć inicjatywę, choć w jakimś minimalnym stopniu. Zacząć realnie grać, a nie być rozgrywanym. Żeby to zrobić, muszę przenieść się do początku. Zresetować stan i wrócić tam, gdzie to wszystko się zaczęło.

***

Parszywe miasto. Parszywy deszcz, który niemal bez przerwy pada z tych parszywych chmur, kłębiących się na parszywym niebie usianym smogiem z parszywych kominów. Parszywy świat, gdzie traktują mnie prądem czy innym parszywym gównem i wywalają z parszywej cyberprzestrzeni. Wreszcie ta parszywa alejka, ciasna, ciemna, pusta i brudna. Pasująca do reszty parszywego miasta, A przede wszystkim parszywe moje życie. Niech to cholera weźmie i pożoga pochłonie.
Jest ciemno, ale w tym mieście prawie zawsze jest ciemno. Żadna różnica, pada, tak jak padało wczoraj i jak będzie padać jutro. Nic się nie zmienia. Alejka też się nie zmieniła, jest taka, jak zapamiętałem. Ruszam w poszukiwaniu ukrytych w fasadzie przycisków. Gdzieś tu są, macam palcami ścianę i wysyłam impuls, żeby uruchomić nakładkę na oko.
Nic się nie zmieniło.
Próbuję jeszcze raz, ale znów bez efektu. Dziwne. Napinam mięśnie, szykując się na atak.
Prawa strona. Pałka elektryczna. Zauważam ją, ale unik udaje mi się zrobić tylko dzięki wyuczonym odruchom. Mój arsenał zdaje się milczeć. Nie mam czasu na myślenie. Kolejny cios spada z lewej, a ja wystawiam ramię do bloku. Boli jak cholera, ale kość wytrzymała uderzenie. Przypadłem plecami do muru, żeby ograniczyć szansę atakującym i odciąć jeden z kierunków, z których mogą uderzyć. Widzą, że efekt zaskoczenia nie dał im spodziewanych korzyści, więc przegrupowują się.
Piątka, wyglądają podobnie do siebie. Skórzane kurtki, krótko ścięte włosy, ciemne

okulary na nosach, jeansy na nogach i dla zwieńczenia, ciężkie, podkute metalem buty. Dwóch z pałkami elektrycznymi, dwóch z łańcuchami, piąty z kastetami na obu dłoniach. Typowe zbiry do wynajęcia. Może jakiś lokalny gang na dorobku. Ale tego dowiem się później. Teraz trzeba sobie dać szansę na jakiekolwiek „później". Okrążają mnie z każdej możliwej strony i zbliżają się, choć powoli, z bronią gotową do ciosu. I wtedy dostrzegłem szóstego, stojącego nieco na uboczu. Gość trzymał w dłoni jakieś metalowe ustrojstwo, a do mnie dotarło co się stało z moimi dodatkami.

Odcięli mi prąd! Gnojki. Albo wiedzą, z kim się mierzą, albo celowali na ślepo i trafili. Tak czy inaczej, prawie im się udało. Prawie. Każdy z moich gadżetów wymaga zasilania i jest ono dostarczane dzięki mikroskopijnemu generatorowi umieszczonemu pod płatem skroniowym. I ewidentnie został on przeciążony aż do wyłączenia. Ale oprócz niego mam jeszcze dodatkowe dwa, które mogę aktywować, gdyby z pierwszym coś się działo. Uśmiechnąłem się wysuwając kły i zauważyłem chwilowe zwątpienie w ich oczach. A potem uruchomiłem zapasowy generator, włączyłem implant dźwiękowy, robiąc sobie dynamiczny, gitarowy podkład muzyczny i odpaliłem kamuflaż optyczny.

Zanim zdążyli zorientować się w sytuacji, wyprowadziłem trzy szybkie ciosy w krtań gnojka stojącego po mojej lewej. Upadł, charcząc i plując krwią. Przeskoczyłem nad nim, uruchamiając wspomaganie mięśni nóg i wybiłem się na trzy metry, a potem spadłem kolanami na kolejnego z atakujących. Jego czaszka nie miała szans i pękła z donośnym chrupnięciem. Nim truchło dotknęło chodnika, wyprowadziłem podbródkowy kolejnemu oprychowi, robiąc mu z żuchwy, szczęki i kości jarzmowej bezkształtną masę. Cała akcja nie zajęła mi nawet sekundy, a pozostała przy życiu połowa nie zdążyła realnie zareagować. W porządku. Wytypowałem tego z ustrojstwem jako ochotnika do szczerej rozmowy, a potem rzuciłem się na kolejną dwójkę. Pierwszemu wbiłem palce w oczy, przebijając się przez ciemne szkła okularów i rozbijając jego gałki oczne. Upadł, krzycząc z bólu. Wrócę do niego za moment. Ostatnim z przeznaczonych na przemiał napastników był ten z kastetami. Wysunąłem nakładki na paznokcie, czyniąc z moich złączonych palców ostrze i obciąłem gościowi dłoń w nadgarstku. A potem wsunąłem mu kastet w gardło, metodycznie, przebijając się przez zęby, język i kości, aż dotarłem do celu. Ten od pękniętych oczu wciąż krzyczał, więc szybkim kopnięciem pozbawiłem go tchu. Skutecznie i ostatecznie. A potem doskoczyłem

do jedynego ocalałego z zamieszania i wbiłem mu w szyję ukrytą w nadgarstku igłę ze środkiem usypiającym. Potrzebowałem go żywego.

***

Funkcjonariusz straży przybrzeżnej kończył obchód wzdłuż kei. Uśmiechnął się krzywo pod czapką z daszkiem, z logiem lokalnej drużyny cyber-ballowej. Zgasił czołówkę i wyciągnął z kieszeni kurtki paczkę papierosów. Stojąc przodem do zatoki, wydobył jednego, włożył do ust i odpalił płomieniem, wydobywającym się bezpośrednio z kciuka. Ponownie uśmiechnął się krzywo, zaciągnął i wypuścił dym. Odwracał się właśnie plecami od wody, kiedy w odległości kilkunastu metrów od koi coś błysnęło.

Funkcjonariusz zawahał się, po czym ponownie uruchomił czołówkę. Nie wypuszczając papierosa z prawej dłoni, lewą sięgnął do pasa, gdzie w kaburze spoczywała broń służbowa. Wyciągnął czarny pistolet impulsowy i uruchomił, sprawdzając poziom naładowania. A potem czekał.

Światło rozbłysło ponownie, tym razem zdecydowanie bliżej. Funkcjonariusz zbliżył się do samego brzegu koi, omiatając latarką wodę. Po kilku chwilach blask czołówki wydobył z mroku nocy dziób jachtu. Statek zbliżał się do brzegu, powoli i spokojnie.

Trzy wyładowania elektryczne przecięły powietrze z ogromną prędkością, trafiając funkcjonariusza w środek czoła, krtań i pierś. Mundurowy upadł, wypuszczając spomiędzy palców wciąż tlącego się papierosa.

***

- Pobudka, skurwielu!

Brak reakcji. W porządku, mamy czas. Mamy mnóstwo czasu. Podszedłem do mojego gościa, uderzając go na odlew w twarz. Może trochę za mocno, bo głowa odskoczyła z dość nieprzyjemnym chrupnięciem. No dobrze, spróbuję jeszcze raz.

- Pobudka, skurwielu! – mówię jeszcze raz, po resecie scenerii. Uderzam go jeszcze raz, choć tym razem pilnując własnej siły. Symulacja czy nie, nie mogę przesadzić. Widzę drgnięcie mięśni twarzy u oprycha. Powtarzam uderzenie, tym razem z drugiej strony. Powoli unosi lewą powiekę i patrzy na mnie,

zdezorientowany. Dla otrzeźwienia wbijam mu pięść w mięsień udowy. Syczy z bólu i otwiera drugie oko.
- Kim… co… - zaczyna.
- Kimś, kto ma do ciebie kilka pytań – odpowiadam, przerywając. Niech od początku wie, kto nadaje tempo i ton konwersacji.
- Czego chcesz?
- Nie uwierzysz, ale porozmawiać.
- Masz rację. Nie wierzę.
- To już nie mój problem – mówię, po czym wbijam mu pięść w drugie udo. Tym razem krzyknął. Czyli zaczyna się synchronizować.
Odchodzę na dwa metry, dając mu miejsce na oddech i możliwość rozeznania w otoczeniu. Siedzi na krześle, drewnianym, niewygodnym i pełnym drzazg. Jest przywiązany do mebla w nadgarstkach i kostkach szorstkim sznurem, wpijającym się w skórę. Znajdujemy się w pustej przestrzeni, gdzie poza nami i krzesłem nie ma nic. Ale tak kompletnie nic, bo jak okiem sięgnąć wokół nas rozciąga się jałowa, biała przestrzeń, a my jesteśmy w niej zawieszeni. Steruję symulacją, więc mój błędnik wie co się dzieje, ale dodatkowy dyskomfort mojego gościa jest mi na rękę. Ten, który sam mu zgotuję, wystarczyłby w zupełności, ale uznaję to za dodatkowy bonus. Premię za szkodliwe warunki pracy.
- Zacznijmy od podstawowych formalności – wróciłem do rozmowy, kiedy zbir przestał krzyczeć. – Kim jesteś i jak do kurwy nędzy mnie znalazłeś?!
- Chuja ze mnie wyciągniesz, piesku – odpyskowuje i spluwa w moją stronę. A przynajmniej próbuje, bo ślina zawiesza się w pustej przestrzeni. – Co tu się…
Przerywałem mu kolejnym uderzeniem, tym razem w obojczyk.
- Co z ciebie wyciągnę, to się jeszcze okaże. Mamy mnóstwo czasu na pogaduszki. W zasadzie to nieograniczony czas. I nieograniczoną liczbę podejść. A im bardziej będziesz się synchronizował, tym więcej zapamiętasz z poprzednich razów. Co ułatwi nam rozmowę.
- Co masz…
- Na myśli? – skończyłem za niego. – Rozejrzyj się. Skup. I zastanów, czy to wszystko nie wydaje ci się znajome. Czujesz? – zbliżyłem się na odległość kilku centymetrów. – Rodzi ci się w tym pustym łbie uczucie déjà vu? To może to odświeży ci pamięć? – uderzyłem na odlew, skupiając się na własnej sile. Głowa mu odskakuje, ale bez uszkodzeń kręgów. Patrzy na mnie coraz bardziej

zdezorientowany, więc odsuwam się po raz kolejny.
- To się nie dzieje naprawdę. To nie może się…
- Może! – wszedłem mu w słowo krzykiem. – I będzie. Choć tak, masz częściową rację. Twoje ciało leży w moim mieszkaniu, wciąż ogłuszone. Jesteśmy w moim prywatnym pokoju przesłuchań w cyberprzestrzeni. A konkretnie to nasze umysły tu są. Ale widzisz, jako gospodarz mam pełne prawo zarządzać tym miejscem tak, jak chcę. Mogę cię krzywdzić, bić, dekoncentrować, głodzić, rozczłonkowywać i zabijać. A potem resetować pętlę i zaczynać zabawę od początku. A wiesz co jest najlepsze? – uśmiechnąłem się, wkładając w to całą moją sympatię do tego gnoja. Co przyniosło efekt, bo jego oczy rozszerzyły się ze strachu. – Najlepsze jest to, że w pewnym momencie twój umysł przestanie wracać do punktu wyjścia i zamkniesz się w nieskończonej pętli bólu, krzyku i śmierci. A ja wydrę z ciebie wszystko, czego potrzebuję. Kawałek. Po. Kawałeczku – wycedziłem.
- Ile czasu…
- O, dopiero zaczynamy. To twoja siódma iteracja.
Zaczął krzyczeć w panice, więc skręciłem mu kark i zacząłem jeszcze raz. Po trzydziestej dziewiątej iteracji miałem już wszystko, czego potrzebowałem, więc zabiłem gnojka po raz ostatni i odłączyłem od cyberprzestrzeni. Odcięte od rozumu ciało wywiozłem potem tam, skąd je wziąłem i oficjalnymi kanałami zgłosiłem napaść na funkcjonariusza.

***

- Zapomnij, nie ma szans.
Nie była to odpowiedź, jakiej oczekiwałem. Myślę, że nikt nie oczekuje tego typu odpowiedzi, kiedy pytanie dotyczy przydzielenia wsparcia. Patrzyłem na mojego szefa z niedowierzaniem.
- Jak to? – wydobyłem w końcu z siebie najprostsze pytanie.
- Myślisz że co się tu dzieje? Mamy tu pierdolnik, jakiego to miasto nie widziało ze sto lat. Z pół posterunku siedzi w terenie i próbuje ogarnąć pożar po tym cholernym pociągu. To skąd mam ci wyciągnąć paru chłopa?
- Jakim pociągu?
- Gdzie ty byłeś przez ostatnie trzy dni? – popatrzył na mnie podejrzliwie. – Zresztą nieważne. Jeszcze mi narkotykowi coś pieprzą o jakiejś zadymie w porcie,

muszę im kogoś wypożyczyć. Myślisz że w tym wszystkim mam czas na jakieś twoje pościgi za bandą małolatów?
- Ogarniętą bandą małolatów, szefie. Coś tu się kroi poważnego, za dużo w tym wszystkim przypadków i zbiegów okoliczności. A ten atak? Wiedzieli co robią.
- A tak, tak – uśmiechnął się ironicznie. – Kilku obwiesiów co ich pokroiłeś w ciemnej uliczce, rzeczywiście – wziął głęboki oddech i spojrzał na mnie uważnie. – Nie wiem za czym gonisz, ale postaraj się nie zgubić po drodze. Nie masz nic, poza nagraniem i informacjami wydobytymi od jakiegoś gnojka. Nawet nie chcę wiedzieć, jak je zdobyłeś. Ciało nie istnieje i możliwe, że nigdy nie istniało. Trop urwał się już dawno temu. Gonisz za cieniem i podpinasz wszystko co znajdziesz tak, żeby znalazł się w jego obrębie. A ja mam do pochowania prawdziwe trupy. I prawdziwe sprawy do zamknięcia. Więc musisz radzić sobie sam.
- Ale... – zacząłem, po czym zdałem sobie sprawę, że nie warto. Decyzja została już podjęta. – W porządku. Zrobię rozeznanie. Pozbieram twarde dowody. Co wtedy?
- Wtedy dostaniesz ludzi. Wsparcie. Wyślę z tobą całą jednostkę. Ale póki nie pokażesz mi czegoś konkretnego, jesteś zdany na siebie.
Kiwnąłem głową, zrobiłem w tył zwrot i wyszedłem z gabinetu. Niech i tak będzie. Mam w zanadrzu parę sztuczek, które mogą mi się przydać.

***

Zgodnie z tym, co wydobyłem podczas przesłuchania od mojego informatora z łapanki, odpowiedzi czekają na mnie w opuszczonych magazynach na obrzeżach miasta. Zostawiłem cywilny pojazd dwa kilometry od celu i zbliżałem się powoli, korzystając z osłony nocy i wadliwego oświetlenia.
Teren był tym, co w miastach istniejących przed wielu laty nazywano slumsami. Teraz był znany jako Ferma. Magazyny przemysłowe, w których niegdyś składowano towary, żywność i materiały eksploatacyjne, formalnie stały opuszczone i czekały na rozbiórkę. Spora połać niezabudowanego terenu stanowiła łakomy kąsek dla niejednej korporacji i walka o prawa do wyburzania toczyła się w urzędniczych kuluarach. Na przeszkodzie w rewitalizacji terenu stały jednak tysiące dzikich lokatorów. I choć część z nich zajmowała się nielegalną

działalnością, a swoją siedzibę miała tu niejedna organizacja, to większość stanowili pechowcy, którym poszczęściło się jeszcze mniej, niż przeciętnym obywatelom wspaniałego New Aztec. Jako policja, oficjalnie nie mieliśmy jurysdykcji nad magazynami, w praktyce nie chcieliśmy jej mieć, zostawiając to miejsce samemu sobie. Próba zaprowadzenia tu porządku byłaby z góry skazanym na niepowodzenie przedsięwzięciem, gwarantującym koszty o wiele niższe, niż potencjalne nakłady. Czemu do tej pory nie wydarzył się tu żaden poważniejszy wypadek, wybuch czy inna powódź. które zupełnym przypadkiem pozwoliłby na wejście ekip sprzątająco-rozbiórkowych – nie miałem pojęcia. Nie chciałem nawet zgadywać co powstrzymuje największe firmy z ich poziomem władzy i przywilejów. Są rzeczy, o których prosty obywatel wiedzieć i myśleć nie powinien. Dla własnego dobra.

Przed wyruszeniem w teren zrobiłem porządny przegląd moich zabawek, a teraz powtarzałem go, krok po kroku. Lepiej sprawdzić o raz za dużo, niż zostać potem zaskoczonym, bo jakiś implant postanowił odpalić sobie update czy planowany reset. Choć wiedziałem gdzie i kto, to nie miałem pełnego obrazu tego, na co się piszę. A każda przewaga, z której mogłem skorzystać, a który były dobrodziejstwem Programu, mogła okazać się decydująca przy „być albo nie być". Po zakończeniu diagnostyki sprawdziłem jeszcze wszystkie zewnętrzne elementy wyposażenia, kończąc na obu spluwach. Wszystko wydawało się być w porządku.

Byłem już jakieś pięćset metrów od granicy Fermy, kiedy wyłapałem pierwsze sygnatury cieplne. Teren okalający magazyny stanowiła mieszanka martwych już drzew, walających się wszędzie śmieci i hałd żwiru, trocin i innych tego typu resztek. Prawdziwe wysypisko. Pomagało mi to w ukryciu własnej obecności, mogłem się schować w razie potrzeby, żeby nie zdradzić zbyt szybko tego, że nadchodzę. Właściwie to istniała mała szansa, żeby ktoś zwrócił na mnie baczniejszą uwagę, bo przemiał ludzi był tutaj niesamowity, ale to kolejny punkt mojego planu: jeśli się da, wykorzystać element zaskoczenia. Dlatego przyjrzałem się tym, którzy aktywowali moje alarmy, chcąc ich jednocześnie minąć w bezpiecznej odległości.

Odbiłem w lewo, żeby wykorzystać cień sterczącego bez życia kikuta, będącego niegdyś pięknym dębem, klonem, czy innym orzechem. I wtedy natknąłem się na twarz, która prześladowała mnie od tak dawna. Którą widziałem w snach, i którą oglądałem nie raz i nie sto na nagraniu. Stanął przede mną człowiek, który

powinien być martwy. Człowiek, którego ciało zaginęło. Człowiek, przez którego wylądowałem na tym odludzi. Żywy, aktywny i z jakiegoś względu, będący w stanie ominąć moje zabezpieczenia zbliżeniowe.

Patrzyliśmy na siebie, a na jego twarzy widziałem malujące się powoli zaskoczenie. To z kolei zaczęło zmieniać się w strach, kiedy odruchowo sięgnąłem po broń. Nie dane mi było zobaczyć, co dalej działo się z jego twarzą, bo odwrócił się i zaczął biec co sił w nogach.

- Kurwa! – zakląłem i zebrałem się do biegu. Nim zdążyłem pomyśleć o tym co się właściwie stało, metr nad moją głową przeleciał pocisk. – Kurwa! – zakląłem ponownie. I odpowiedziałem ogniem, celowo wysyłając impulsy nad potencjalnym celem. Wcześniej szukałem trupa, teraz chciałem odpowiedzi, zważywszy na to, że trup był nadzwyczaj żywy.

W biegu uruchamiałem potrzebne dodatki, ale niezbyt mi to pomagało. Klasyczny tryb ludzkiego oka, bez żadnych nakładek i mój cel był widoczny, ale i termowizja, i pasmo radiowe, i RTG ignorowały go. Musiał mnie czymś zakłócać. Zdecydowałem się zostawić podczerwień na lewej soczewce, żeby móc wykryć inne osoby. Nie chciałem tu dodatkowych ofiar.

Biegliśmy, oddając do siebie gwałtowne, niedokładnie wycelowane strzały i szybko dotarliśmy do pierwszych zabudowań. Zawahałem się. Po wejściu na teren Fermy czekał mnie chaos. Widziałem przed sobą pierwsze ogniska, namioty pełne ludzi, baraki mieszkalne, sklecone na szybko stoiska z towarami różnego poziomu potrzeb, unoszące się na ledwo funkcjonujących repulsorach bary oraz morze przechodniów. Tłum, niezorganizowany, zajęty własnym, nędznym życiem, który stał między mną, a celem. Nie chciałem nikogo zranić, ale nie mogłem też mieć pewności, czy nie staną przeciwko mnie.

Moje wahanie rozwiało się wraz ze strzałem, który wbił się w ziemię pół metra od moich nóg. Idealnie wycelowane ostrzeżenie. Powinienem je zignorować. Powinienem zawrócić. Powinienem przez moment pomyśleć nad tym, co robię. To byłoby zbyt proste. Zamiast tego włączyłem kamuflaż i ruszyłem przed siebie, śledząc jednocześnie sygnaturę cieplną pocisku. Trajektoria urywała się w pewnym momencie, ale mogła pomóc mi odnaleźć miejsce ukrycia strzelca. Nałożyłem na wynik dane satelitarne i pokryły się one mniej więcej z koordynatami, które uzyskałem podczas przesłuchania. Jednocześnie zgubiłem trop mojego żywego trupa, ale miałem niejasne przeczucie gdzie go znajdę.

Odszedłem kilka alejek w bok, pokluczyłem po okolicy i wreszcie, w cieniu straganu z podejrzanego pochodzenia żywnością, wyłączyłem kamuflaż. To bardzo ciekawy bajer, ale zżerał sporo energii, a tę wolałem oszczędzać póki mogłem. Szczególnie, że mój plan szybkiego i cichego wejścia nie miał już szans powodzenia. Zapowiedziałem swoje nadejście głośno i wyraźnie. Mimo to miałem nadzieję, że udało mi się zgubić ogon, więc zacząłem się zbliżać do miejsca docelowego. Okrężną drogą, próbując przy tym wtopić się w tłum. Co było równie prawdopodobne, co szansę na zostanie nagłym i niespodziewanym spadkobiercą fortuny Cappaldich czy innych Moritów. Nie należałem do żadnego z tych dwóch, oddalonych od siebie najbardziej jak to możliwe, światów.

Szło mi całkiem nieźle, dopóki nie znalazłem się trzy prowizoryczne przecznice od celu. Możliwe, że obserwowali mnie od jakiegoś czasu, możliwe, że zauważyli dopiero teraz, w każdym razie drugi oddany do mnie strzał ostrzegawczy wylądował o wiele bliżej. Uskoczyłem za najbliższy barak i spróbowałem odpowiedzieć ogniem. Podczerwień wciąż nie działała jak powinna i nie miałem żadnej sygnatury strzelca, ani nawet pocisku. Zagłuszanie, czymkolwiek było, musiało działać. Trudno, mam inne sposoby. Schowałem spluwę służbową i sięgnąłem po drugą, do zadań specjalnych. Przełączyłem tryb na granaty energetyczne, nastawiłem na powtórzenia trójkami, wychyliłem się i oddałem szybkie strzały tam, gdzie wydawało się to sensowne.

Dach magazynu rozbłysnął jasno i gwałtownie, a do moich uszu dotarł krzyk bólu. Długi, przeciągły. Czyli trafiony jeszcze żył. W odpowiedzi z kolejnych czterech miejsc nadleciały następne wyładowania. Uskoczyłem za osłonę, zanim miały szansę mnie sięgnąć. Wyjrzałem, żeby ocenić sytuację i opracować szybki plan działania, po czym ponownie schowałem się przed impulsami. Oddałem dwa strzały skondensowanej energii, nie celując w nic konkretnego, ale skorzystałem z odwrócenia uwagi i, pochylony przy ziemi, przebiegłem kolejną przecznicę, wskakując za parterowy dom uciech. Napastnicy szybko pozbierali się i zasypali moją nową kryjówkę gradem strzałów, ale nie zdecydowali się na nic mocniejszego. Podobnie do mnie, nie chcieli przypadkowych ofiar. Sami w sobie nie byli jednak przypadkowymi ofiarami, dlatego nie miałem oporów, by posłać im kolejne granaty energetyczne. Jednocześnie szukałem trasy do kolejnego skrócenia dystansu. Opracowałem plan, gotowałem się już do wprowadzenia w życie, gdy na moim prywatnym kanale usłyszałem obcy, zniekształcony głos.

- Wystarczy. Proponuję zawieszenie broni i rozmowę.

Powinienem być zdziwiony, ale po tym, co widziałem do tej pory, niewiele mogło mnie już zaskoczyć. Oczywiście, że mieli możliwość przejść przez moje zabezpieczenia. W ramach gestu dobrej woli, wysunąłem powoli dłoń z bronią za osłonę, a potem rozłożyłem palce, pozwalając spluwie upaść na ziemię. Nikt nie próbował wykorzystać okazji, żeby odpowiedzieć ogniem, więc zdawało się, że zawieszenie broni nie jest prostacką zasadzką. Wyszedłem zza osłony, podniosłem i schowałem broń i ruszyłem w kierunku szarego budynku, wyglądającego z zewnątrz jak wszystkie inne szare budynki w okolicy. Przed wejściem czekała na mnie piątka młodych osób, każda z pałką energetyczną w ręku. Wyłączoną pałką, co odebrałem jako dobry znak. Rozłożyłbym ich w dwie sekundy, o czym zapewne też już wiedzieli, ale miło, że nie zmuszali mnie do przekucia teorii w praktykę. Drzwi do budynku otworzyły się z cichym sykiem, a ja wszedłem do środka.

***

Wnętrze było puste. Dosłownie puste. Żadnej skrzynki, żadnego śmiecia, ani elektroniki, nawet żaden karaluch nie przebiegł pod nogami. Dziwne. Po chwili w powietrzu przede mną zmaterializowały się trzy postacie, najpewniej wyłączając własny kamuflaż. Jedną z nich był mój żywy trup, druga wyglądała niemal jak kopia pierwszego, tylko ciut niższa i z odrobiną szczeciny na brodzie. Trzecia zapewne była kimś w rodzaju mentora, przywódcy czy innego szefa. Starszy facet, tak pod czterdziestkę, stał i patrzył na mnie przenikliwymi oczami. Jedno oko i jedną rękę miał sztuczne, ale nie próbował tego ukryć. Patrzyliśmy tak na siebie przez kilka sekund, aż postanowiłem przejąć inicjatywę.

- Ty nie żyjesz – bez ogródek, obcesowo zwróciłem się do pierwszego z młodszych. – Wypaliło ci klatkę piersiową. Widziałem.

- Czy widziałeś to swoimi własnymi oczami? – odpowiedział starszy. – Czy możesz mieć pewność względem tego co jest prawdą, a co tylko iluzją?

- Jeśli to jakiejś filozoficzne kółko wzajemnej adoracji, to sobie odpuść – spojrzałem na niego wyzywająco. – A jeśli chcesz się ze mną bawić w jakieś pierdolenie w rodzaju „tak naprawdę żyjesz w symulacji i nie istniejesz" to też sobie odpuść. Moje życie jest zbyt gówniane, żeby było nieprawdziwe.

- Nic z tych rzeczy – stary wciąż był spokojny. – Pytanie było zasadne. Wiemy już, po co przybyłeś i wiemy dlaczego. Wiemy co widziałeś, a czego nie widziałeś. Ale nie chodzi o nas. Chodzi o to, w co ty sam jesteś w stanie uwierzyć.

- Sprawdź mnie – nie miałem ochoty na żadne gierki i zawiłe wyjaśnienia. – Najprościej, jak potrafisz.
- Nie wadzimy nikomu. Nie wtrącamy się w życie ludzi, nie ciągnie nas do wielkiego świata, do polityki, korporacji ani globalnych spisków. Mamy swój cel i swoją drogę. A jednak, z jakiegoś względu, to nas wybrano jako narzędzie. Wiemy dużo, ale wiedzą nie dzielimy się z każdym nie robimy tego ot tak. Nie jesteś tu po to, żeby nas zniszczyć, nie celowo. Jesteś pionkiem, który ktoś rozgrywa przeciwko tobie samemu. Przebyłeś jednak długą drogę. Po drodze pokazałeś, że nie zamierzasz krzywdzić bez powodu. Masz więc prawo, żeby zadawać nam pytania. Ale pomyśl, zanim je zadasz.
Sytuacja zaczęła mnie przytłaczać swą dziwnością. Miejsce, spokój tego typa, okoliczności, w jakich się tu znalazłem. Ten trup co już trupem nie jest a powinien. Musiałem się skupić. Musiałem się zastanowić. Czułem, że gra trwa dalej, że to jakiś cholerny sprawdzian, musiałem więc myśleć trzeźwo. Na nic wszystkie moje gadżety, usprawnienia i wtyczki, musiałem zaufać sobie, swojemu rozumowi i instynktowi.
- Widziałem nagranie – zacząłem ostrożnie. – Nagranie, na którym ty giniesz. Byłem na miejscu. Widziałem ślady, dowody, wszystko się zgadzało, oprócz jednego – ciała. Widziałem też kroki prowadzące w stronę drzwi. To byłeś ty, prawda? – zaczynało do mnie docierać. – Wystrzał był elementem iluzji. Cała reszta była prawdą, ale ktoś dodał do niej zabójstwo, żeby napuścić mnie na wasz trop.
- Bardzo dobrze – pochwalił mnie stary. – Nie, nie wiemy do końca kto. Ale wiemy po co. O tym za moment. To, co widziałeś, to test. Element egzaminu naszego akolity. Słyszałeś o czymś takim, jak kafejka internetowa?
- Nie – przebiegłem zdziwionym wzrokiem po całej trójce. – Nigdy.
- Tak też myślałem – westchnął. – Koniec dwudziestego stulecia przyniósł globalną cyfryzację, a wraz z nią możliwości. Ale zanim udało się przenieść nowe rozwiązania pod strzechy wszystkich domów, zarezerwowane one były dla tych, którzy mogli za nie odpowiednio zapłacić. Cyfrowy świat na godziny – tym były kafejki. To, co widziałeś na nagraniu, było odtworzenie jednej z nich. Mamy je rozsiane po całym mieście i włamanie się do ich systemów jest jednym z testów, które przechodzi każdy z przyszłych członków naszej grupy. Ktoś cię oszukał i od tego czasu gonisz za cieniem i podpinasz wszystko co znajdziesz tak, żeby znalazł

się w jego obrębie. Ale zadawanie śmierci nie naszym celem. Jak sam widzisz, własnymi oczami.
- Skąd wy to wszystko wiecie? Te kafejki to jedno. Byłem tam, odtworzyliście to coś i na ile mogę powiedzieć, wyszło wam to naprawdę dobrze. Ale moje śledztwo? Moje zdolności? Przełamanie moich zabezpieczeń? Blokowanie nakładek? To jest poważne.
- Wiemy dużo i nie lubimy się tą wiedzą dzielić, jak już mówiłem – stary się zamyślił. – Czy to dla naszej wiedzy nasłano cię na nas? Być może. Umiemy dużo. Mamy spore możliwości i spore zaplecze. Mamy dojścia, o których nie mogę mówić.
- Wiesz, że mógłbym cię zmusić? – popatrzyłem na niego, starając się dodać nieco stalowej pewności do mojego spojrzenia.
- Czyżby? – parsknął. – Nasze starcie byłoby najpewniej bardzo interesujące, ale nie zakładałbym się o wynik. Ty też nie powinieneś.
- Mogę tu wrócić ze wsparciem.
- A kto ci uwierzy? Banda dzieciaków bawi się zabawkami przeszłości. Tak, proszę pana, już wysyłamy nasze szwadrony śmierci.
Coś we mnie pękło. Po tych wszystkich dniach, próbach, poszukiwaniach, zamachu, chaosie i szeroko pojętym rozpierdolu miałem dość. Moje styki powiedziały „stop", kiedy ten obdarty typ zaczął śmiać mi się w twarz. Zanim zorientowałem się, co robię, moja dłoń lądowała już na jego szyi, trafiając od dołu w żuchwę. Głowa odskoczyła, a ja pod palcami poczułem twardą stal. Zaskoczyłem go, ale nie uszkodziłem. Zadałem powierzchowne obrażenia. Zaczynamy od remisu.
- Dość! – rozbrzmiało w pomieszczeniu, nim zadałem kolejne uderzenie. Powstrzymałem laserowe ostrze, które zacząłem aktywować. – To nie będzie potrzebne!
Maskowanie opadło i moim oczom ukazało się prawdziwe wnętrze pomieszczenia. Pełne komputerów, kabli, monitorów, ekranów i różnego rodzaju elektronicznego śmiecia. Przy części stanowisk siedzieli ludzie podobni do dwóch młodzieńców stojących naprzeciw mnie. W różnych miejscach rozstawili się uzbrojeni w krótkie karabiny, lekko opancerzeni strażnicy. A przynajmniej sprawiali wrażenie strażników, czujnie przyglądających się sytuacji. W centralnej części pomieszczenia znajdowała się ogromnych rozmiarów tuba, półprzezroczysta

i wypełniona jakimś płynem, a wewnątrz niej, obwieszony setką małych kabli, spoczywał układ nerwowy. Nie mózg, nie ludzka głowa, ale kompletny układ nerwowy. Przerażające i fascynujące zarazem. Przed tubą znajdował się kolejny monitor, większy niż pozostałe. Był włączony i wyświetlał twarz starszego człowieka. Oczy z ekranu wpatrywały się we mnie. I choć był to tylko obraz, odczuwałem niejasne i nieprzyjemne wrażenie, że ten wzrok świdruje mnie na wylot.

- Podejdź, proszę – ponownie zabrzmiał z głośników. Posłusznie zbliżyłem się do ekranu. – Miło mi cię gościć, detektywie Marino.

- Dość dziwnie okazujecie gościnę, panie…? – zawiesiłem pytanie między nami.

- O, to jak się nazywam nie ma już żadnego znaczenia, detektywie. Nie figuruję już w żadnych bazach, nie ma mnie w raportach. Formalnie nie jestem żywy od setek lat. Proszę nie robić takiej zdziwionej miny. Mogłeś się tego domyśleć samemu, gdybyś w odpowiedni sposób poskładał klocki. Pozwolę sobie również przejść na „ty", w porządku? W moim wieku już nie wypada mi „panować".

- Proszę mi wybaczyć, ale mój mózg mówi mi, że potrzebuję przerwy i to długiej. Więc oszczędźmy sobie wstępy i ozdobniki. Co tu się do cholery ciężkiej dzieje? I kim ty właściwie jesteś?

- Nikim, jak już podkreśliłem. Kim byłem kiedyś, o, to już inna rozmowa. Ale nie po nią przyszedłeś, prawda? – nie odezwałem się, więc kontynuował po chwili. – Zastanawiałeś się, jak udało nam się złamać twoje zabezpieczenia. Być technologicznie krok przed tobą. Pokonać cię w naszym małym, prywatnym pojedynku. Otóż to proste. Ty korzystasz z dobrodziejstw współczesnej techniki i jej aktualnych osiągnięć. Ja żyję przez cały czas, kiedy ewoluowała, od prostych linijek kodu, do czasów obecnych. Obserwowałem rozwój i upadek firm, patenty, które wygrały i te, które przepadły. Z ukrycia pomagałem rozwinąć niektóre pomysły. Technologia to ja. No, w pewnym sensie – zaśmiał się, choć przez głośniki wyszedł z tego zgrzytliwy charkot. – Nie jestem megalomanem, o nie. Ale byłem, jestem i będę w centrum technologicznego wyścigu zbrojeń. I chętnie dzielę się z tymi, którzy na to zasługują.

- A te testy? – udało mi się złapać oddech, choć coraz mocniej przytłaczała mnie obecna sytuacja. – To też widziałeś i pamiętasz?

- Wybacz, że na stare lata stałem się sentymentalny – ponownie zacharczał. – Tak, to wszystko moja młodość. I moje wspomnienia. Odrobina nostalgii dla mnie

i ciekawy rodzaj sprawdzianu dla moich podopiecznych. Ale dość o mnie, detektywie. Nie jestem twoim wrogiem. Moja grupa nie chciała cię zniszczyć. Nie chcemy niszczyć nikogo. Zostaliśmy wplątani w to wbrew własnej woli, podobnie jak ty. Ktoś uznał, że upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu. Tak się kiedyś mówiło – dodał, najwyraźniej dostrzegając moje zdziwienie. Ile tu było kamer? – Dlatego napuścił nas na siebie. Choć to nie my jesteśmy głównym celem.

- Tylko po co? Jestem nikim. Trybikiem w maszynie, marnym gliną w wielkim mieście.

- Czyżby? Proszę mi powiedzieć, co porabiają twoi koledzy z Programu?

- Z pro… - zawahałem się. Czy powinienem się jeszcze dziwić zasobem wiedzy tego, hmm, czegoś. – Jasne. I nie wiem. Jesteśmy rozdzieleni między różne wydziały, każdy zajmuje się swoimi sprawami. Zabawne – uśmiechnąłem się mimowolnie. – Sam zadałem to pytanie Jose, kiedy się ostatnio widzieliśmy.

- Proszę cofnąć się pamięcią do okoliczności tego zdarzenia. Wysłano was ze specjalnym zdaniem, zgadza się? A potem rozpętał się chaos.

- Ta-a – zastanowiłem się. – Wywołany informacjami, które nie powinny ujrzeć światła dziennego.

- Tak jak nagranie z naszej inicjacji, prawda? A jednak ruszyłeś tropem, jak na dobrego detektywa przystało. Zamieszki zawsze pociągają za sobą ofiary, po obu stronach barykady. I łatwo o wypadek. A mówiąc o wypadkach i dziwnych zdarzeniach, to czy nie mam wrażenia, że dużo takich ostatnio ma miejsce?

- Zakładając. Zakładając! – pokreśliłem. – że ma to sens. Kto. I po co?

- Na pierwsze pytanie musisz znaleźć odpowiedź samemu, jeśli będziesz chciał, oczywiście. Choć odradzałbym. Możesz wspiąć się po szczeblach tak wysoko, że sprawa cię przerośnie, a upadek będzie bolesny. Natomiast co do drugiej kwestii: jeśli dookoła dzieją się rzeczy, które trudno wyjaśnić, warto zadać sobie dodatkowe pytanie: kto na tym zyska?

- Kto może zyskać na śmierci dziesięciu osób?

- To zależy od osób. Kto finansował Program? Kto był jego beneficjentem? A kto na nim zarobił? Takie modyfikacje nie są tanie, ani łatwe w przygotowaniu. Masz rację, jesteś trybikiem, ale równie drogim, co niebezpiecznym. Możliwe, że ktoś dodał dwa do dwóch, ale wyszło mu pięć, więc postanowił wyzerować tablicę obliczeń. Ale do tego proszę już dojść samemu. A tymczasem chcę cię pożegnać, detektywie. Mam nadzieję, że możemy uznać naszą miłą pogawędkę za podpisanie

paktu o nieagresji. Zdobyłeś moje uznanie, rozwiązałeś sprawę morderstwa, które się nie wydarzyło, więc gratuluję. Uścisnąłbym ci dłoń, ale sam widzisz. Dlatego życzę powodzenia. I proszę na siebie uważać. Ten, kto na ciebie poluje, ma środki i możliwości. Wątpię, żeby odpuścił.

Skinąłem głową, najpierw jemu, potem trójce, która powitała mnie jako pierwsza. Następnie, nie niepokojony przez nikogo, wyszedłem z pomieszczenia i ruszyłem powoli w stronę zaparkowanego pojazdu. Mój umysł próbował nadążyć za wszystkim, czego właśnie doświadczył. W całym tym natłoku, gdzieś na skraju świadomości kołatała mi jedna myśl. Cień. Słowa, które powiedział stary, o gonieniu za cieniem. Gdzieś już je słyszałem. Tylko gdzie? I dlaczego coś mi w tym nie gra? Będę musiał się nad tym porządnie zastanowić. Zacząć to wszystko od nowa, całą tę cholerną układankę. Ale to już w domu. Teraz potrzebowałem oddechu. I drinka. Zdecydowanie potrzebowałem drinka.

***

Cywilny poduszkolot stał zaparkowany na obrzeżach miasta, w okolicy wysypiska. Spomiędzy martwych drzew wybiegła zakapturzona postać w płaszczu. Zbliżyła się do pojazdu i rozejrzała się na wszystkie strony. Spod płaszcza wyjęła mały, płaski, srebrny dysk. Pochyliła się, wsuwając drugą rękę pod poduszkolot. Wyciągnęła ją z powrotem, trzymając w ręku bliźniaczo podobny dysk. Zakapturzona osoba zgniotła go i wsunęła resztki pod płaszcz, po czym nacisnęła przycisk na pierwszym urządzeniu. To ożyło, świecąc przez chwilę na czerwono. Kiedy lampka zgasła, postać wsunęła dysk pod pojazd, odczekała pięć sekund, po czym odbiegła z powrotem pomiędzy martwe drzewa.

Koniec